

WSPOMNIENIA O ALBERCIE WOJTCZAKU OFMCONV (1907-1962)

O. Alberta Wojtczaka znam z okresu moich studiów w Wyższym Seminarium Duchownym OO. Franciszkanów w Krakowie (1953-1962) i pierwszych lat mojego kapłaństwa (1960-1962). Od tamtych czasów upłynęły długie dziesiątki lat i wiele szczegółów z jego życia na pewno zatarło się w mojej pamięci. Myślę, że te, które tu przedstawię, będą nie tylko ciekawe, ale także pożyteczne dla historii naszego Seminarium.

Swoje wspomnienia opieram na tym, co wówczas zauważyłem. A zauważyłem może więcej niż wielu innych, ponieważ podczas swego pobytu w seminarium przez rok lub półtora – dokładnie nie pamiętam – byłem u o. Alberta „owieczką”, co w języku kleryków znaczyło, że miałem obowiązek utrzymywania porządku w jego mieszkaniu, które składało się z dwóch pokoi znajdujących się w sąsiedztwie obecnej czytelnicy seminaryjnej, a później zostało zamienione na dwa odrębne mieszkania poprzez wybicie dodatkowych drzwi z korytarza zegarowego i zamurowanie drzwi, które je przedtem łączyły. Do moich zadań należało pastowanie, froterowanie i zamiatanie podłóg, ścieranie kurzu, ślanie łóżka, przynoszenie czystej wody do mycia i wynoszenie wody brudnej, a w porze zimowej także palenie w piecu.

O. Albert był człowiekiem średniego wzrostu. Miał twarz człowieka myślącego, może nie bardzo urodziwą, ale przyjemną. Był znacznie przygarbiony. W zimie, ponieważ korytarze klasztoru nie były wówczas ogrzewane, pojawiał się na nich zwykle w zarzuconym na plecy czarnym, dość zużyтым futrze. Powagi dodawały mu mocno podsiwiałe włosy.

Głos miał barytonowy, dykcję trochę wadliwą. Mówił wprawdzie płynnie, ale zmiękczał spółgłoski syczące. Np. „s” brzmiało u niego podobnie jak „ś”, „z” i „ż” – podobnie jak „ź”. Wynikało to prawdopodobnie stąd, że dolną szczękę

miał lekko wysuniętą do przodu, tak że dolne uzębienie zachodziło na górne, a nie odwrotnie. Nie rozumiem, dlaczego utrzymywał, że to pomaga w wymowie. Dobrze śpiewał. Podobno umiał grać na fisharmonii.

Nie należał do franciszkańskich wesołków. Rzadko się uśmiechał. Prawie zawsze był poważny i zamyślony, może nawet trochę smutny. Miał silną osobowość, co przejawiało się w jego systematyczności i odwadze w wypowiedzaniu poglądów. Gdy nas uczył, nie był jeszcze starym człowiekiem, ale chyba czuł się starym, gdyż często określał siebie słowem „Stary”.

Podróżował zwykle w cywilu. Ubierał się z gustem, ale bez wyszukania. Uważał, że ksiądz powinien umieć tak się przebrać, żeby ludzie nie rozpoznawali, że jest kapłanem.

Okoliczności, w jakich zostałem „owieczką” o. Wojtczaka, wskazują na jego usposobienie. Otóż mój poprzednik na tym „stanowisku”, br. Konrad Górniowski, w ciągu dłuższej nieobecności Profesora nie wyniósł z jego pokoju wiadra z brudną wodą, na powierzchni której w międzyczasie wyrosła bujna pleśń. Po powrocie do domu Profesor zdenerwował się z powodu tego niedbalstwa i oświadczył ojcu magistrowi, że nie życzy sobie, żeby br. Konrad nadal u niego sprzątał. Ojciec magister postanowił, żebym ja przejął ten obowiązek. Gdy poszedłem do o. Alberta po instrukcje, powiedział do mnie o moim poprzedniku: „Paškudny leń!”. Wręczając mi klucz do swego mieszkania, zakazał wpuszczać do niego kogokolwiek z wyjątkiem o. Wojciecha Zmarza, gdyby ten potrzebował jakiejś książki z jego księgozbioru. Miał bowiem dość dużą bibliotekę, w której – jak się zdaje – przeważały książki z filozofii. Przypuszczam, że z mojego posługiwania był zadowolony, bo nigdy nie zgłaszał co do niego zastrzeżeń.

Zdarzyło się kiedyś, że w czasie przerwy między wykładami jeden z kolegów przyniósł do sali wykładowej szklaną, czarną od nikotyny cygarniczkę i wręczając mi ją powiedział: „Albert kazał ci dać tę firkę do oczyszczenia!”. Szybko oczyściłem ją dokładnie i zaniósłem Profesorowi. Wręczając mu ją zauważyłem, że nie wie, o co chodzi, i szybko sobie uświadomiłem, że koledzy sobie ze mnie zakpili. Wyjaśniłem mu sprawę. Uśmiechnął się i stwierdził: „No, na pewno zakpili!”. Nie zrobił z tego żadnego problemu. Koledzy mieli dużo radości.

Powszechnie podziwialiśmy pracowitość o. Alberta. Nigdy nie widziałem, żeby marnował czas. Na rekreacjach rzadko zabierał głos i zwykle szybko nas opuszczał, by iść do swoich zajęć. W dni powszednie mszę świętą odprawiał prawie zawsze o godz. 6.00, by przez resztę dnia oddawać się spokojnie przygotowywaniu wykładów oraz pisaniu kazań i książek.

Uczył nas homiletyki i patrologii. Jako wykładowca był - w moim odczuciu - bardzo dobry. Mówił językiem gawędziarskim. Treść jego wykładów była mądra i ciekawa. Zawsze był do nich przygotowany. Często ożywiał je wypowiedziami, które odzwierciedlały jego wielkie doświadczenie życiowe oraz znajomość ludzkich zalet i słabości.

Wspomnienia o Albercie Wojtczaku OFMConv (1907-1962)

Nigdy się nie spóźniał. Także od nas wymagał punktualności. Jednego z kolegów, który wszedł do sali po rozpoczęciu wykładu, wyprosił słowami: „Hulaj, jegomość, za drzwi!”. Chyba nigdy się nie zdarzyło, żeby opuścił jakiś wykład. Czasem przychodził prawie bezpośrednio z pociągu, którym wrócił z wyprawy kaznodziejskiej.

Homiletykę wykładał według wydanego w Kielcach w roku 1935 podręcznika pt. *Homiletyka duszpasterska*, którego współautorem jest ks. Zygmunt Pilch. Treści podręcznika ubogacał licznymi przykładami z własnej praktyki kaznodziejskiej.

Ciekawe były prowadzone przez o. Alberta ćwiczenia z homiletyki. Polegały one na tym, że wieczorami starsi klerycy wygłaszali w kościele przed Profesorem i w naszej obecności opracowane przez siebie kazania, a na najbliższej godzinie wykładowej odbywała się dyskusja, w której wypowiadaliśmy się o jakości ich treści i sposobu ich wygłoszenia. Mówiono je z pamięci. O. Albert uważał, że kazania czytane są mniej wartościowe. Sam przemawiał z pamięci i oczekiwał, że my będziemy go w tym naśladować. Bardzo lubił późniejszego o. Stanisława Sikonia, który w dyskusjach chyba najczęściej i rozsądnie zabierał głos. Przepowiadał mu duże osiągnięcia w kaznodziejstwie. O ile wiem, w niewielkim stopniu mu się to sprawdziło.

Do pierwszej części patrologii o. Albert dał nam obszerny skrypt, który się niedawno odnalazł. W moim przekonaniu pod względem dydaktycznym był on wartościowszy niż wydana w 1954 w Poznaniu *Patrologia* ks. Jana Czuja, z której przerabialiśmy część drugą. Zawierał bogate wiadomości o życiu ojców Kościoła i ich teologii. Przypuszczam, że pochodziły one z trzytomowej *Geschichte der altkirchlichen Literatur*, wydanej w latach 1912-1914 przez O. Bardenhewera. O. Albert bowiem, kpiąc z przejawów głupoty w prowincji, opowiadał nam, jak w jednym z naszych klasztorów na Ziemiach Zachodnich ocalił to dzieło przed bezmyślnym zniszczeniem, gdy któryś ze współbraci rzucił je przed piec, w którym miało być spalone jako rzecz bez wartości.

Egzaminy u o. Alberta należały do najtrudniejszych. Pytanie zaczynał zwykle od zdania, które brzmiało np.: „Przedstaw mi czwarty punkt z drugiego rozdziału”. Gdy student wiedział, co jest tematem tego punktu, Profesor był już w jakiejś mierze zadowolony i kazał ten temat omówić. Odpowiedzi słuchał uważnie. Pytań dodatkowych nie zadawał. Z patrologii prócz wiadomości o życiu i nauce ojców Kościoła wymagał znajomości podziału ich dzieł i tytułów tychże. Stopnie, moim zdaniem, stawiał sprawiedliwie.

W roku akademickim 1955/1956 zdarzyło się jednak, że nie był wobec nas sprawiedliwy. Na rocznikach wcześniejszych prócz znajomości *Homiletyki duszpasterskiej* do egzaminu trzeba było opanować pokaźnych rozmiarów skrypt o. Alberta z historii kaznodziejstwa, w którym były bogate wiadomości o licznych mówcach z dziejów Kościoła. Rada Pedagogiczna i prowincjał uznali, żeby

nas tym nie obciążał, bo to nam nie będzie bardzo potrzebne. O. Albert jednak nie podporządkował się ich decyzji, wyłożył jakąś część tego skryptu i zażądał od nas, żebyśmy go zdali. Mając za sobą przelożonych, oświadczyliśmy mu, że nie spełnimy jego woli. Był z tego powodu bardzo oburzony i za wszelką cenę starał się nas nakłonić, żebyśmy przyszli na egzamin. Sądził błędnie, że jest to konieczne dla utrzymania jego prestiżu. Mnie osobiście przekonywał: „Przyjdź, Juliusz, zdaś na pewno!”. Czterech kolegów złamało ten strajk. Postawił im bardzo dobre oceny, a wszystkim pozostałym za karę obniżył stopnie do trójki. Żałuję, że doszło do tego nieporozumienia z szanowanym Profesorem.

Poza tematem warto może zaznaczyć, że wszyscy łamistrajkowie doszli do kapłaństwa. Jeden został później biskupem na misjach w Brazylii; drugi, przebywając na studiach w Rzymie, został na przejściu dla pieszych zabity przez nieuwważnego kierowcę; dwóch pozostałych rzuciło kapłaństwo i opuścili zakon.

Znam jeden wypadek jaskrawie stronniczego wystąpienia o. Alberta na posiedzeniu profesorów. Uległ wtedy prawdopodobnie fałszywemu naświetleniu sprawy przez jednego z ojców, którego darzył wielkim zaufaniem. Szczegółów nie opisuję, bo nie byłoby to rozsądne.

Po naszym strajku baliśmy się, żeby o. Albert nie został prowincjałem i nie wyciągnął wobec nas poważniejszych konsekwencji. Grupa jego byłych uczniów ze Lwowa chciała go wybrać na ten urząd i powszechnie się mówiło, że sam również bardzo tego pragnął. Jeden z naszych kolegów – Beniamin Słonka – wymyślił wtedy zdanie: „Albert lubi być prowincjałem”. Robiliśmy, co mogliśmy, żeby nie został wybrany. Nie osiągnął prowincjalstwa, mimo że pod koniec życia wyraźnie o to zabiegał. Nie tylko klerycy bali się jego wyboru! Przed kapitułą, na której spodziewał się, że go wybiorą, powiedział mojemu bratu, o. Damianowi: „Jak zostanę prowincjałem, to cię dopuszczę do święceń. Co do Juliusia to sięście zastanowią”. Chyba pamiętał mi, że nie chciałem zdawać tej nieszczęsnej historii kaznodziejstwa.

Dzięki pracy pisarskiej o. Alberta powstały źródłowo opracowane biografie o. Maksymiliana Kolbego, o. Wenantego Katarzyńca, o. Melchiora Fordona i Anieli Salawy. Podobno miał zebrany bogaty materiał do życiorysu br. Alberta Chmielowskiego.

Działalność kaznodziejską o. Albert wysoko sobie cenił i nieraz dawał nam do zrozumienia, że uważał się za nie byle jakiego kaznodzieję. Słyszałem wiele jego kazań w naszej bazylice i chętnie chodziłem go słuchać. Podobały mi się rekolekcje, które nam wygłosił przed diakonatem. Przypominam sobie, że w jednej nauce przekonywał nas o wielkich zasługach kapłanów nie tylko dla religii, jakie wyznawali, ale także dla cywilizacji w ogóle. Przemawiając sprawiał wrażenie mędrca, który dzieli się ze słuchaczami nie tylko swoją wiedzą, lecz także swoją znajomością życia. Mówił ciekawie, ale nieraz za bardzo rozwlekle, przy czym zdarzało się, że się niepotrzebnie powtarzał. Utrzymywał, że z jego wystąpień

zadowoleni byli zwłaszcza mężczyźni. Jako kaznodzieja musiał być ceniony także poza zakonem, bo go często zapraszano z rekolekcjami. Któregoś roku głosił rekolekcje do prowincjałów, chyba na Jasnej Górze. Na jednym z wykładów ujawnił nam, że im wtedy powiedział: „Ja wiem, w jaki sposób zostaliście prowincjałami”. Wydaje mi się, że raz głosił rekolekcje także księżom biskupom, ale nie mam co do tego pewności. Pewnego razu chlubił się przed nami, że jako młody ksiądz wygłosił w Konstantynopolu rekolekcje w języku francuskim.

Prócz języka francuskiego znał także inne języki obce: łacinę, włoski, a przede wszystkim niemiecki, w którym napisał swoją pracę doktorską. Na jednym z wykładów porównywał składnię niemiecką ze składnią francuską i włoską.

Swoje kazania przygotowywał starannie, wykorzystując Pismo Święte i prace teologów. Twierdził, że w każdym kazaniu powinien być przynajmniej jeden cytat z Biblii. Kpił z kaznodziei, którzy zamiast Pisma Świętego woleli cytować gazety. Bardzo lubił św. Tomasza z Akwinu, którego *Summę* w języku oryginalnym często widywałem obok Biblii otwartą na jego stole. Raz mi powiedział: „Ale ten Tomasz mądry! Przed każdym kazaniem sprawdzam, co napisał na dany temat”. Co jakiś czas czytał sobie *Trylogię* H. Sienkiewicza, by – jak mówił – utrzymać biegłość w języku.

Przed wejściem na ambonę zwykle modlił się w zakrystii, klęcząc ze stulą na lewym przedramieniu. Radził nam, byśmy czynili podobnie. „Zanim pójdziesz na ambonę, rąbnij się w piersi, boś grzejnik” – uczył na jednym wykładzie.

Ostrzegał przed patosem i nadętością, cechującą niektórych głosicieli słowa Bożego, udawaniem ludzi wielkich i pełnych cnoty. Z myślą o nich powiedział pewnego razu: „Staje taki na ambonie, naperfumowany i myśli sobie: «Ecce ego!»”. Wykpiwał niektóre zwroty i słowa, jakimi posługiwali się czasem ówczesni kaznodzieje, np.: „Najmilejsi!”, „Pozwólcie, że wam powiem!”, „A jakby nie pozwolili, to byś nie powiedział?” – pytał retorycznie.

Podczas wakacji, które jako klerycy spędzaliśmy w Sobocie koło Lwówka Śląskiego, jeden z ojców, który nie mógł o. Albertowi przebaczyć, że go „cisnął” w seminarium, bardzo nisko oceniał przed nami jego kazania, ale sam na pewno nie mówił lepiej.

Z dochodów za pracę kaznodziejską o. Alberta zbudowano w Lubomierzu pokaźny dom, nazwany od jego imienia „Albertówką”. Obecnie spełnia on ważną rolę jako miejsce schronienia dla oaz prowadzonych przez naszych ojców.

Słyszałem, że o. Wojtczak przeprowadził pożyteczną wizytację Prowincji Księży Salwatorianów. Podobno sami salwatorianie byli z niej bardzo zadowoleni. Możliwe, że wizytował także inne zgromadzenia zakonne.

Ogrom pracy wykonanej przez o. Wojtczaka zasługuje tym bardziej na uznanie, że nie był on człowiekiem wielkiego zdrowia. Zauważyłem, że w czasie wykładów często zatrzymywał się, by wziąć głęboki i długi oddech. Miał niskie ciśnienie. Może dlatego pił dużo prawdziwej kawy i wypalał po kilkadziesiąt

papierosów dziennie. Systematycznie popijał jakieś napary z ziół, z których fusy znajdowałem potem w wielkich ilościach w wiadrze z brudną wodą. Brał jakieś niemieckie krople nasercowe. Prawie zawsze miał w pokoju świeże cytryny. Raz mnie zapytał: „Lubisz cytryny, to ci dam?”. Odpowiedziałem: „Nie bardzo!”. Na to on: „Bo ja jem je jak jabłka!”.

Wypada wspomnieć, że o. Albert miał przyjaciół, którymi się przed nami chlubił. Byli to: ks. abp Eugeniusz Baziak, prof. Adam Gruca, wybitny chirurg z Warszawy, o. Adam Narloch z naszej warszawskiej prowincji i br. Feliks Góralik, przełożony klasztoru braci albertynów na Kalatówkach w Zakopanem. Z ks. abp. Baziakiem znał się z czasów swego pobytu we Lwowie. Wydaje mi się, że był nawet jego spowiednikiem. Znajomość z prof. Grucą również sięgała okresu lwowskiego. Mówiono, że p. Gruca żywił wobec o. Alberta głęboką wdzięczność za jakąś pomoc, której ten udzielił mu we Lwowie w latach wojny. Raz lub dwa razy odwiedził on naszego Profesora, co uważaliśmy za dowód, że darzył go szacunkiem. Raz przyjechał do niego także o. Narloch. Do br. Feliksa na Kalatówki o. Albert udawał się od czasu do czasu, by tam odpocząć po swoich trudach lub - chyba częściej - pracować nad ukończeniem swoich książek. Mieszkał w najobszerniejszym pokoju tamtejszego, zniszczonego potem przez pożar, klasztoru, znajdującym się na piętrze od strony wejścia. Twierdził, że z br. Feliksem lubił rozmawiać i doskonale się z nim rozumiał.

O postępowaniu ludzi musiał mieć pogląd dość pesymistyczny. Często bowiem słyszałem z jego ust słowa: „Niezmierzone jest miłosierdzie Boże i głupota ludzka!”.

Na wykładach nieraz dawał wyraz niechęci do próżniaków i hochsztaplerów, którzy zdarzają się w naszej wspólnocie. Przypominam sobie, co pewnego razu powiedział z myślą o którymś ze swoim uczniów: „Przyjedzie ci taki stary cudzołóżnik, poklepie cię po ramieniu i mówi: «Jak się macie, profesorku?»”.

Któregoś dnia Profesor mówił z oburzeniem, że pewna osoba pochodzenia żydowskiego – nazwiska nie podaję, gdyż nie wiem, czy dobrze pamiętam – wykorzystała w swej publikacji treść maszynopisu jednej z jego książek i nie raczyła tego zaznaczyć. „Paśkudne żydostwo!” – zakończył tę wypowiedź. Nie sądzę, żeby to można uważać za wyraz antysemityzmu. O. Albert był bowiem wtedy wyraźnie rozgoryczony i chyba to sprawiło, że dopuścił się uogólnienia. W każdym razie innych stwierdzeń tego rodzaju z jego ust nigdy nie słyszałem.

Nie lubił obżartuchów. Nieraz wypowiadał pod ich adresem zdanie: „Mówiś, że masz złą przemianę materii. Przestańże pchać w siebie tyle tej materii, a nie będziesz taki gruby!”.

Szczególną sympatią darzył jednak br. Maurycego Wszółka, który był chyba najbardziej otyły w naszym seminarium. Wyrazem tego były korepetycje z języka niemieckiego, jakich mu udzielał, co budziło w naszym środowisku pewną zazdrość. Znali się z czasów pracy o. Alberta na stanowisku proboszcza parafii w Czyszkach, z której br. Maurycy pochodził.

Wspomnienia o Albercie Wojtczaku OFMConv (1907-1962)

Przynajmniej dwa razy nasz Profesor wypowiadał się do nas o niedocenianych wartościach Trzeciego Zakonu św. Franciszka. Miał zastrzeżenia do tych franciszkanów, którzy lekceważąco mówili o tercjarkach. Z wdzięcznością wspominał te z nich, które nosiły żywność i potrzebne rzeczy ojcom, przebywającym w więzieniach niemieckich i komunistycznych.

Byłem świadkiem, jak któregoś dnia na rekreacji poobiedniej o. Albert załatwiał z gwardianem, o. Celestynem Gackiem, pozwolenie na wyjazd do Zakopanego. Miał zamiar jechać tam chyba tylko na jeden dzień, prawdopodobnie po jakąś dokumentację, dotyczącą życia br. Alberta Chmielowskiego. Gwardian wielkodusznie odpowiedział: „Może sobie Ojciec zostać tam przez parę dni!”. O. Albert wyraźnie się tym ucieszył. „To dobrze, zrobię sobie przechadzkę w góry” – oświadczył. Podczas tej przechadzki zginął tragicznie. W niedzielę, gdy wiadomość o tym nieszczęściu nie dotarła jeszcze do klasztoru, miał on wygłosić kazanie na mszy świętej. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy nie przyszedł do bazyliki, bo zawsze pilnował swoich obowiązków!

Nie ulega wątpliwości, że o. Albert był świadomy swoich wartości i nie ukrywał tego obłudnie. Niektórzy uważali go z tego powodu za pyszałka. W związku z tym powstała nawet anegdota, według której na postawione mu pytanie, który z franciszkanów polskich jest najmądrzejszy, miał on odpowiedzieć: „Po mnie Mateusz!”. Chodziło o o. Mateusza Skoczka, który w warszawskiej prowincji słynął jako wykładowca przedmiotów filozoficznych i dobry mówca. O byle kim anegdota nie powstają! Nie ujmując niczego o. Skoczki, który przemawiał błyskotliwie, sądzę, że o. Albert był naprawdę wybitniejszy.